

Jak to przed COVIDEM było

24 września 2020

Nikt już nie pamięta, że śp. minister zdrowia Łukasz Szumowski otrzymał tytuł Wizjoner Zdrowia 2019. Tym, którzy go przyznali, należy pozazdrościć zdrowia, czyli braku kontaktu z polską medycyną. Zwłaszcza, że życie z koronawirusem mocno zweryfikowało poglądy na polską służbę zdrowia. Jeśli jednak komuś wydaje się, że przed pandemią opieka zdrowotna działała, to się myli.

Tuż przed pandemia było bowiem tak...

Niefajnie było być chorym. Z powodu coraz dłuższych kolejek do specjalistów można było nie doczekać wizyty. Media donosiły przecież, że średni czas oczekiwania wydłużył się w ostatnich latach o jedną trzecią.

W celu ratowania własnego życia warto zatem było ten czas skrócić. I mieć wykonaną diagnostykę znacznie szybciej. W tym celu trzeba było zaryzykować i udać się na szpitalny SOR. Ryzyko brało się stąd, że od miesięcy w każdej telewizji pokazywali, jak chorzy, kwitnący po kilkanaście godzin na Szpitalnym Oddziale Ratunkowym mrą jak muchy.

Jeśli jednak osoba siedząca potulnie w szpitalnym korytarzu dożyje i usłyszy wreszcie swoje nazwisko, ból i zmęczenie mijają.

Dobry żart

Chyba, że się jest rodzicem siedmiolatka, z którym trafiło się do szpitala w Złotowie. No i wyczuło się od lekarza niedyskretną woń procentów. Potwierdzoną tym szczególnym wyglądem oczu, tudzież nieskoordynowanym zachowaniem. Jednak aby dojść do jednoznacznego wniosku, że lekarz jest na bani, państwo potrzebowali kilkunastu godzin, bowiem zawiadomienie o

zawianym medyku złożyli nazajutrz. Policja nie mogła lekarza namierzyć, bowiem dał dyla ze szpitala. A jak się odnalazł, to nic nie wydmuchał. Dla dyrekcji placówki leczniczej jednak nie miało to znaczenia, bo lekarz, który ni stąd ni zowąd robi wypad z roboty, na etat nie zasługuje. I w związku z tym chwilę potem szpital miał wakaty.

Dzięki czekaniu na izbie przyjęć, w pacjencie rodziła się nadzieja. Czasem jak w przypadku pani z Bytowa nieco płonna, ale za to ubogacona omamami słuchowymi.

Kobieta w szóstym miesiącu ciąży zgłosiła się do tamtejszego szpitala, bo brzuch ją bolał. A, że ciąża była zagrożona, to pani była przestraszona nie na żarty. Dlatego gdy usłyszała od lekarza, że płód wygląda na obumarły, nadzieja z niej uszła. I miast wrócić, gdy lekarz powiedział, że to taki żarcik był, to przeszła we wściekłość. Ta zaś nic nie dała, bo szpitalowi wyszło, że słowa o martwej ciąży, musiała pani pacjentka usłyszeć jedynie w swoim jestestwie, bo oprócz niej nikt tego nie słyszał.

Nieboszczyk na deser

Jeśli chory przebrnie rejestrację i legnie w szpitalnym łóżku, to wbrew temu, co mu się wydawało wcale nie musi mieć z góry. Omamy mogą wystąpić nawet na sali szpitalnej, albo na korytarzu. Podejrzewała je u siebie również pacjentka szpitala Czerniakowskiego w Warszawie, gdy próbowała wypłacić z bankomatu gotówkę, a ten poinformował ją, że ma puste konto. Szpital ten nie specjalizuje się w psychiatrii, a pacjentka nie miała lobotomii, ale inny zabieg chirurgiczny, więc okazało się, że brak środków na koncie, to nie halucynacja, a wynik tego, że kartę bankomatową na czas obłożnego stanu pacjentki wzięła sobie pani pielęgniarka Beata. I poczyniła zakupy na prawie 5 tysięcy zł.

Panią ominęło za to coś, czego doświadczył mąż pani Joli leżąc na oddziale wewnętrznzo-geriatrycznym Wojewódzkiego Szpitala

im. Marie Curie – Skłodowskiej w Zgierzu. Jednego dnia zmarło dwóch pacjentów z łóżek obok. Zwłoki obu zostały na sali na czas posiłków pana męża.

Następnego dnia leżący obok pacjent zmarł rano. Personel skonstatował ten fakt podczas porannego budzenia. Co nie przeszkadzało mu przynieść mężowi pani Joli śniadania. Ponieważ pan leżał, to nie mógł zrealizować konsumpcji w miejscu, gdzie nie towarzyszyłby mu nieboszczyk.

O godzinie 13 do nieżywego pacjenta przyszła w odwiedziny rodzina. I jak się można domyślać, zastała go, bo nikt go nigdzie nie wywiózł. A ponieważ o tej porze rozwożony jest obiad, to mąż pani Joli kolejny raz musiał skutecznie meksykański obyczaj biesiadowania w towarzystwie trupa.

Pani Jola zauważyła, że te praktyki pogorszyły stan zdrowia męża, a ją samą zmusiły do zapisania się do psychologa. Co personelowi szpitala wydaje się dziwne, bo przecież rozporządzenie mówi, że „W okresie pomiędzy stwierdzeniem zgonu a przewiezieniem do chłodni zwłoki osoby zmarłej są przechowywane w specjalnie przeznaczonym do tego celu pomieszczeniu, a w razie jego braku – w innym miejscu, z zachowaniem godności należnej zmarłemu”. A ponieważ mąż pani Joli w czasie posiłku nie młaskał i nie siorbał, to godności jego martwego towarzysza nie uchybił.

Mąż pani Joli i tak powinien się cieszyć. Miał bowiem co jeść. A 41 letni pan Paweł, który trafił na oddział neurologiczny szpitala w Pabianicach z udarem krwotocznym do pnia mózgu, nie bardzo. Chyba, że za jedzenie uzna ktoś otrzymywanych przez pana Pawła 1000 kcal dziennie. W związku z tym pan Paweł się wycieńczał, a z powodu leżenia w moczu nabawił się odleżyn. Co z punktu widzenia ekonomiki szpitala wynikało z tego, że – jak tłumaczono to małżonce pana Pawła – „i tak umrze w wyniku powikłań”. Czyli pielęgnowanie go przez personel, byłoby marnotrawstwem sił i środków.

Większość ludzi nie rozumie procedur medycznych. Te zaś są jasne i proste – jak na wojnie. Ratuje się tych dobrze rokujących. Dlatego co jest dziwnego w tym, że w 2016 r. z izolatki szpitala MSWiA w Warszawie wystawiono do sali pooperacyjnej łóżko z człowiekiem, zarażonym bakterią szpitalną. W związku z czym miał on niekończące się biegunki i schudł do 40 kg.

W jego miejsce wstawiono fotel, w którym zasiadał przez 2 godziny – nieświadomy całej akcji – Włodzimierz Cimoszewicz. Po czym polityk wstał, wyszedł i po trzech latach nawet wygrał euromandat. Zaś pacjent czas jakiś po tej sytuacji zmarł. To, że Cimoszewicz ma się dobrze, mimo niedawno zdiagnozowanego nowotworu, świadczy, że medycyna wojenna w szpitalu MSWiA jest efektywna nader.

Chirurgiczne cięcia

Brak zrozumienia pacjentów dla szpitalnych procedur, czasem prowadzi do tego, że miast chirurgów, za nóż chwytają pacjenci. Tacy jak 64-letni chory z oddziału neurologicznego szpitala w Radzynie Podlaskim. Zaatakował on – nożem właśnie – pielęgniarza dyżurującego. A potem spustoszył szpital wybijając szybę i uciekł w miasto. Nóż przydał mu się jeszcze, gdy próbowali go obezwładnić policjanci. Jeśli motywem starszego pana była chęć wyjścia ze szpitala, to mu się to udało. Policja do placówki medycznej go nie odwozła.

Na oddziale chorób zakaźnych Szpitala Klinicznego we Wrocławiu 17-letniemu Krystianowi nie pasowała pielęgniarka. Do tego stopnia, że pewnego wieczoru, gdy kobieta podała mu leki i się odwróciła, została przez młodzieńca po trzykroć ugodzona nożem „w okolice łopatek”. Potem Krystian odrzucił narzędzie zbrodni i uciekł ze szpitala. W związku z tym zatrzymującym go policjantom nic nie zrobił. W przeciwieństwie do pielęgniarki, która na długie tygodnie z pielęgniarki zmieniła się w tak nieodłączny element szpitala jakim jest pacjent.

W kwestii bycia szpitalnym nożownikiem Krystian jest jednak wyjątkiem. Przynajmniej w ostatnich miesiącach. Bo pan w szpitalu Latawiec w Świdnicy miał 84 lata. I może właśnie dlatego składanym scyzorykiem z długim ostrzem 30 razy wbił się w ciało pacjenta liczącego sobie 98 wiosen. Zaś w 85-lątka tylko kilka razy. A na dodatek popsuł szpitalne łóżko i jego oderwana częścią naruszył integralność cielesną pani pielęgniarki.

Świdnicki przypadek różni się od poprzednich przede wszystkim tym, że pacjent z nożem zaatakował nie personel, ale innych chorych. A i to zapewne w samoobronie, bo od jakiegoś czasu przebąkiwał, że reszta pacjentów chce go zabić.

Jest też nader istotny wyróżnik tej sprawy. Po raz pierwszy prokurator sprawdza, jakie procedury nie zadziałały, że ktoś mógł mieć na oddziale nóż. Podobnego pytania a ni w Radzynie, ani we Wrocławiu sobie nie zadał. Ale tam ofiarami nie był przecież 85-letni ksiądz proboszcz z Wałbrzycha, który przeżył. Podobnie jak i prawie stułatek.

Pocieszyciele

Księża nie są niczym w szpitalach dziwnym. Każda placówka ma bowiem na etacie kapelana. Szpital Specjalistyczny w Pile też miał. Ksiądz Jerzego, salezjanina. Ale do czasu gdy ksiądz Jerzy, niosąc posługę duchową leżącej na chirurgii dziecięcej 17-latce, jął dotykać jej bioder i ust, a nawet całować. Pacjentce, ta forma rehabilitacji nie przypadła do gustu, w związku z czym prokurator zastosował paragraf o molestowaniu, a ksiądz Jerzy się z nim zgodził i chce dobrowolnie poddać się jakiejś drobnej karze.

Zupełnie inaczej niż ksiądz Stanisław, niegdysiejszy kapelan szpitala w Łukowie. Niegdysiejszy, bo gdy okazało się, że podkradł się do, będącego niemal nieprzytomnym, pacjenta dochodzącego do siebie po operacji. A na dodatek z unieruchomionymi kończynami i z drenami. I nie dość, że się

podkradł to przy wezgłowie chorego dopuścił się onanizmu, pozostawiając na chorym swój materiał biologiczny. I za to sądy od lat zajmują się sprawą księdza Stanisława, by chwilę temu zdecydować się na 2 lata w zawiasach plus 15 tysięcy zł zadośćuczynienia dla obryzganego kapelańskim nasieniem pacjenta.

Goło i wesoło

Dla każdego, kto ogląda seriale medyczne jest jasne, że życie seksualne w placówkach medycznych kwitnie. W Szpitalu Powiatowym w Radomsku też. Acz inaczej nieco. Otóż firma, która zajmowała się komputerami szpitalnymi poinformowała dyrekcję placówki, że na twardych dyskach jest w cholere plików dla bardzo dorosłych, ale na niektórych, występujące tam panie na zbyt dorosłe nie wyglądają. I teraz strupa mają szpitalni decydenci i prokurator. Bo nie dość, że specjalne filtry w komputerze przepuściły taką zawartość, to na dodatek nie wiadomo, kto „świętuchy” ściągnął, bo sprzęt użytkowało wiele pracujących w szpitalu osób.

Seks w Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym w Częstochowie, miał absorbować na nocnych dyżurach lekarzy, lekarki i pielęgniarki, wszedł na wokandę sądową. Dwie panie opowiedziały bowiem prokuratorom, że świetny skądinąd ortopeda – dr Michał, zamiast zgłębiać tajniki ich kośćca, penetrował z użyciem siły oraz penisa ich tkanki miękkie. Te, które powinny być raczej w orbicie zainteresowań ginekologa.

Mogłoby się wydawać, że kłopoty pacjentów szpitala kończą się z wydaniem przez nich ostatniego tchnienia. Przykład 56-letniego pana Ryśka z prosektorium szpitala w Legnicy udowadnia, że tak nie jest. Pan Rysiek dawał bowiem niektórym drugie życie. Towarzyskie.

Robił sobie – uśmiechając się do obiektywu – „selfiki” ze zwłokami. Pan Rysiek był na nich ubrany, zaś panie nieboszczki nie. Poza tym, szpitalne prosektorium odwiedzali ludzie,

którzy dziś zeznają w prokuraturze, że ulubionym – podczas tych wizyt – zajęciem pana Ryśka było dotykanie piersi, zabawa nimi, a nawet zgadywanie, czy są prawdziwe, czy silikonowe. Nie wspominając o tym, że pracownik prosektorium pasjami lubił rozkładać nieboszczkom nogi i obmacywać ich części intymne.

Poronione prawo

Równie nieciekawie jak nieboszczki z Legnicy, mają ponoć nienarodzone trupki ze szpitala w Skwierzynie. Bo szpitale mają obowiązek składowania poronionych zygot. A potem ich hurtowego pochówku. Tyle, że to wszystko kosztuje, dlatego w wielu miejscach robi się tak jak od lat. Pali się je z amputowanymi kończynami, czy innymi wyciętymi fragmentami tkanek.

Tyle, że w Skwierzynie w lutym zmieniono zakład pogrzebowy, który pochówkiem poronień się zajmował. I gdy tylko firma straciła z tego tytułu profity przypomniała sobie, że wciąż jest w posiadaniu szpitalnych płodów i na dodatek oskarżyła szpital, że zawsze dostawała ich mniej niż wynikałoby ze specyfikacji. I teraz prokuratorzy próbują przeliczać płody ze słoików, dopasowując je do udokumentowanych szpitalnie poronień. Oczywiście w ramach śledztwa z artykułu 262 par. 1 KK, dotyczącego bezczeszczenia ludzkich zwłok lub miejsca spoczynku osoby zmarłej. Bo kilkunastomilimetrowy płód, to zwłoki są.

Czy wiedząc, jak wyglądają polskie szpitale po ponad 3 latach rządów tych, którzy mieli zmienić placówki medyczne na najlepsze w świecie, można się dziwić, że 59-letni pan z Ukrainy po przywiezieniu do szpitala wojewódzkiego w Olsztynie, popełnił samobójstwo?

Można otóż. Ukrainiec nie zabił się dlatego, że zobaczył na własne oczy nieudolność polskiej placówki medycznej, ale dlatego, że oczami wyobraźni widział rachunek za usługi ratujące jego zmiażdżone w polu biodro. A ponieważ zastąpił w

polu brata, czyli nie był ubezpieczony, to wolał się zabić niż płacić do końca życia.

Kto wie, czy gdyby trafił do Kliniki Anestezjologii, Intensywnej Terapii i Ostreych Zatruc szpitala na szczecińskich Pomorzanach, nie żyłby do dziś.

Nad łózkami pacjentów zawisły tam głośniki, z których o poranku płyną dźwięki ziemi – szum fal, odgłosy lasu i muzyka relaksacyjna, później specjalne bloki z jazzem i spokojną muzyką rozrywkową, wieczorem znów relaksujące dźwięki i odgłosy ziemi. Tej ziemi.

Autorstwo: Tomasz Borowiecki

Źródło: Trybuna.info